

ROZDZIAŁ I.

CHOĆ WSPÓŁCZESNOŚĆ WEZBRAŁA PRZYPŁYWEM GOSPODARCZYM, TO NIE W GOSPODARCE NALEŻY SZUKAĆ JEJ PRZYCZYN

Przed dwustu laty światowa gospodarka była tam, gdzie dziś jest Bangladesz. Co więcej, dzisiejszy młody mieszkaniec Bangladeszu ma o wiele lepiej ugruntowane w przeszłości podstawy do wiary w to, że za swojego życia zdoła ujrzeć kres (lub początek kresu) biedy swojego narodu, niż miała przeciętna młoda osoba żyjąca w dawnych dobrych czasach XIX wieku w Norwegii lub w Japonii. W XIX wieku przeciętny człowiek konsumował równowartość zaledwie 3 dolarów dziennie i oczekiwał, że jego dzieci, wnuki i prawnuki będą konsumować tyle samo (plus minus dolar albo dwa)¹. Ta liczba – wyrażona w kategoriach współczesnych amerykańskich cen skorygowanych o koszt utrzymania – wprost zatrzaża.

Jeśli jednak żyjesz obecnie w takim do szpiku burżuazyjnym kraju jak Japonia czy Francja, to prawdopodobnie każdego dnia wydajesz około 100 dolarów. Sto dolarów zamiast trzech – oto skala nowoczesnego wzrostu gospodarczego. Do XIX wieku jedynymi ludźmi, którym wiodło się tak dobrze, że wykraczali poza granice tych 3 dolarów, byli posiadacze

¹ Konkretnie „międzynarodowych dolarów Geary’ego-Khamisa z 1990 roku” – przy czym uwzględniłam jeszcze inflację (korzystając ze wskaźnika cen konsumpcyjnych w Stanach Zjednoczonych od 1991 roku), aby wartości zgadzały się z grubsza z tymi z 2008 roku w Stanach Zjednoczonych. Owe 3 dolary należy więc rozumieć jako kwotę, za jaką trzeba byłoby przeżyć na przykład w Chicago w 2008 roku, mając nieszczęście otrzymywać przeciętny światowy dochód realny z 1800 roku. Wielkości te zostały oszacowane przez nieżyjącego już Angusa Maddisona w jego wspaniałym dziele, prawdziwym pałacu poświęconym liczbom, czyli *The World Economy* (Światowa gospodarka) (2001 [2006]). Te konkretne wartości znajdziemy na s. 642. (Czytelnik z pewnością dostrzeże, jak bardzo w swojej pracy polegałam na dziele Angusa. Maddison powinien otrzymać Nagrodę Nobla, lecz niestety w ekonomii krzywo się patrzy na „samo zbieranie danych”. Proszę sobie wyobrazić, gdzie byłaby dziś astronomia lub biologia, gdyby przedstawiciele tych nauk byli tak nastawieni! Cóż, dla mnie i dla wielu innych osób dorobek Maddisona jest *sine quo nullum*). Mówiąc o okresie „przed dwustu laty”, korzystałam ze średniej wartości światowych dla lat 1700 i 1820. Wśród historyków gospodarczych panuje zgoda co do tego, że dla okresu od XVIII wieku zmiana ta jest około dziesięciokrotna. Zob. np. Easterlin 1995, s. 84.

ziemscy, biskupi i nieliczni handlarze. Tak samo było wcześniej, przez cały okres spisanej historii, i jeszcze wcześniej, w czasach prehistorycznych. Za te 3 dolary mieszkanka naszej planety mogła liczyć na parę kilogramów ziemniaków, trochę mleka i z rzadka na jakiś ochłap mięsa. Może własniany szal. A może rok albo dwa lata podstawowej edukacji, o ile miała szczęście i jeśli nie żyła w społeczeństwie analfabetów. Po urodzeniu miała połowiczne szanse na dożycie do trzydziestki. Może miała pogodny charakter i była „zadowolona” z analfabetyzmu, chorób, przesądów, okazjonalnego głodu i braku perspektyw. Koniec końców miała swoją rodzinę, wiarę i społeczność, które ingerowały w każdą podejmowaną przez nią decyzję. Lecz niezależnie od tego cierpiała okrutną biedę, a zakres jej możliwości był znikomy.

Dwieście lat później świat może już utrzymać przy życiu ponad sześć i pół raza istnień ludzkich więcej. I wbrew czarnowidztwu maltuzjańskiej wiary w to, że wzrost populacji stanie się ogromnym problemem, przeciętny człowiek zarabia tak dobrze, że konsumuje niemal dziesięciokrotnie więcej dóbr i usług niż w XIX wieku. Mimo budzących zaniepokojenie przestojów podczas ponad trzydziestu recesji, które nawiedziły światową gospodarkę od XIX wieku, niemal po każdej zapaści w cyklu koniunkturalnym zaledwie po kilku latach nadchodził kolejny szczyt dobrobytu dla ubogich mieszkańców Ziemi. Jedynymi okresami odnowy, z których trzeba było się dźwigać dłużej, były te po należących już dziś do odległej przeszłości dwóch wojnach światowych². W skali globu głód jest dziś na historycznie najniższym poziomie i wciąż znajduje się w odwrocie. Wskaźnik alfabetyzacji i oczekiwana długość życia przekraczają najwyższe z notowanych szczytów i nadal rosną. Mamy coraz więcej wolności. Niewolnictwo odchodzi w niepamięć, podobnie jak patriarchalne zniewolenie kobiet.

W o wiele obecnie bogatszych krajach, takich jak Norwegia, przeciętny obywatel zarabia czterdzieści pięć razy tyle, ile w 1800 roku. To godna

² Zgodnie z przeprowadzonymi przez Maddisona obliczeniami realnego PKB *per capita* w 12 krajach Europy Zachodniej od 1869 do 2001 roku (Maddison 2001 [2006], s. 439–441; zważywszy na to, że z pewnością gospodarki te łączył cykl koniunkturalny i wszystkie się rozwijały, jest to agregat wcale rozsądny), w ciągu zaledwie dwóch bądź trzech lat po wielkich krachach (w latach 1884, 1890, 1900, 1907, 1974, 1980 i 1992) przekroczone osiem z dwunastu szczytów. Po dwóch głębokich depresjach (w 1875 i 1929 roku) trzeba było czekać aż sześć lub siedem lat na pobicie poprzednich rekordów. A ponad maksima z początków wojen światowych wzniesiono się dopiero po szesnastu (dla 1913 roku) i po dwunastu (dla 1939 roku) latach.

najwyższego podziwu kwota 137 dolarów dziennie. Dochód mieszkańca Stanów Zjednoczonych wynosi, dla porównania, 120 dolarów, a Japończyka 90 dolarów³. W krajach takiej zamożności stan środowiska naturalnego – rzecz istotna dla żyjącej w dobrobycie i wykształconej burżuazji – nieustannie się poprawia. Nawet w krajach wciąż rozwijających się, choćby we wciąż ubogich Chinach, w których zarabia się jedynie 13 dolarów dziennie (co i tak stanowi ogromny postęp w stosunku do 1978 roku), powoli zaczyna się dbać o przyszłość naszej planety⁴. Historia gospodarcza wygląda jak leżący na ziemi kij do gry w hokeja. Ma bardzo, bardzo długi uchwyt na poziomie 3 dolarów dziennie, ciągnący się aż do 1800 roku przez całą liczącą dwieście tysięcy lat historię gatunku *homo sapiens*. I choć występowały w nim niewielkie wzniesienia za czasów starożytnego Rzymu, wczesnośredniowiecznego świata arabskiego i w środkowym średniowieczu w Europie, to nieodmiennie następował po nich powrót do kwoty 3 dolarów dziennie. I nagle, po dwóch tysiącach wieków, w ostatnich dwóch stuleciach w górę wystrzela zupełnie niespodziewane ostrze, które wybija się do kwoty 30 dolarów dziennie, a w wielu miejscach globu nawet wyższej⁵.

To prawda, że głębokie ubóstwo wciąż dotyka całe narody i znaczne grupy nawet szybko rozwijających się krajów takich jak Chiny, a zwłaszcza Indie. Spośród 6,7 miliarda ludzi na planecie w wielkiej biedzie żyje kurczący się (na szczęście) „miliard na dzień”, zarabiający oburzacą kwotę 3 dolarów dziennie, na którą ludzie byli skazani od czasu wyjścia z afrykańskiej sawanny. Kilkaset milionów przeżywa ledwie za dolara, śpiąc na matach na ulicach Bombaju⁶. Prawdziwie niewolnicze życie wiedzie około 27 milionów osób – jak Dinkowie z Sudanu. A na świecie całą rzeszę dziewcząt i kobiet, na przykład w Afganistanie, niewoli się przez ciasnotę umysłową. Lecz odsetek ludzi bardzo biednych i tkwiących w ogromnym zniewoleniu zmniejsza się w globalnym społeczeństwie szybciej niż

³ World Bank 2008, s. 161, 216, 112.

⁴ World Bank 2008, s. 58.

⁵ O „wzniesieniach na uchwycie kija” mówią Walter Scheidel i Gregory Clark; za: Zanden 2009, s. 274, rys. 35.

⁶ „Miliard na dzień” to wyrażenie ukute przez Paula Colliera (2007). W 2006 roku średni dochód narodowy brutto *per capita* (według parytetu siły nabywczej, tj. uwzględniający koszty utrzymania) w Norwegii był 5,4 raza wyższy niż globalny (na podstawie danych: World Bank 2008, s. 2, 161). Względem średniej z krajów o niskim dochodzie, wedle definicji przyjmowanej przez Bank Światowy, było to aż 27 razy więcej, czyli podczas gdy w krajach o niskim dochodzie zarabiano się dziennie 5 dolarów, w Norwegii było to już 137 dolarów (World Bank 2008, s. 10).

kiedykolwiek. Od lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia populacja świata rośnie coraz wolniej, a w ciągu kilku pokoleń zacznie wręcz spadać⁷. Drogi Czytelniku, jaka wielkość rodziny dominuje w Twoim otoczeniu?

Jeśli nic się nie zmieni, to za pięćdziesiąt lat ludzie żyjący w głębokiej nędzy będą już ludźmi odpowiednio odżywionymi. Większość niewolników i kobiet uzyska wolność. Środowisko naturalne będzie się miało coraz lepiej. Typowy mieszkaniec globu stanie się burżuaninem. W 1800 roku pesymizm miał racjonalne podstawy – choć u świtu nowej ery wielu ludzi było optymistami. I choć dziś żyjemy w czasach wielkiej popularności wróżb o nadciągającej katastrofie, to mamy znacznie więcej powodów, aby patrzeć w przyszłość, nie tracąc pogody ducha.

W sporej części świata scenariusz optymistyczny już się sprawdził. Beztrosko burżuazyjny charakter klasy robotniczej w Stanach Zjednoczonych jest od dawna cierniem w oku marksistów. W 1906 roku historyk gospodarczy Werner Sombart pytał: „Dlaczego nie ma socjalizmu w Stanach Zjednoczonych?” Jego odpowiedź brzmiała: „O rostbef i szarlotkę rozbijały się wszystkie socjalistyczne utopie”⁸. Okazało się, że znakomicie sobie radzący Amerykanie tylko przecierali szlak dla Brytyjczyków, Francuzów i Japończyków. Wydaje się, że zmierzamy nie ku zlanie się w powszechną klasę proletariatu, co ku dołączeniu do powszechnej klasy innowacyjnej burżuazji. (Francuskie słowo *bourgeoisie* rozumiem szeroko, jako oznaczające klasę ludzi zatrudniających, posiadających, wykwalifikowanych lub wykształconych [bez końcówki – *ie* wyraz *bourgeois*, wymawiany „burżua”, to przymiotnik, określający też męskiego przedstawiciela tej klasy w liczbie pojedynczej lub mnogiej], którzy zazwyczaj mieszkają w miastach – „klasę średnią”. Nie będę go używała w marksistowskim sensie *la haute bourgeoisie*, czyli klasy ograniczonej do najmożniejszych przemysłowców). Pracujący dla AthletiCo fizjoterapeuta – który ukończył uczelnię wyższą i zdobył pracę zgodną ze swoim wykształceniem, zarabia 35 dolarów na godzinę lub 280 dolarów dziennie i kontynuuje naukę – nie uważa się za niewolnika pozostającego na łasce swojego pracodawcy⁹. Praca zajmuje mu cztery dni w tygodniu, a jego żonie, która pracuje

⁷ Maddison 2001 (2006), s. 615. Por. U.S. Census Bureau 2009. Urząd Statystyczny Stanów Zjednoczonych przewiduje tam, że do 2050 roku stopa przyrostu ludności spadnie do 0,5% rocznie, podczas gdy historyczny szczyt z lat sześćdziesiątych XX wieku wyniósł ponad 2%.

⁸ Sombart 1906, s. 167.

⁹ Bureau of Labor Statistics, U.S. Department of Labor, <http://www.bls.gov/oes/current/oes291123.htm> (dostęp: 15 października 2017).

w tym samym zawodzie, trzy. Jeśli zechcą, w każdej chwili mogą otworzyć niewielką prywatną praktykę. Stosunki produkcji już nie mówią wiele o świadomości najemnej siły roboczej czy stojących przed nią perspektywach. Pracujesz, aby otrzymać zapłatę. Czy doprawdy to takie upadające? Drogi – burżuazyjny z racji wykształcenia – Czytelniku, wyobraź sobie, proszę, prawdziwą do bólu biedę, jakiej Twój przodek doświadczał w XIX wieku, i bądź wdzięczny erze burżuazji i epoce innowacji, że uniknąłeś podobnego losu.

W 2007 roku ekonomista Paul Collier zauważył, że przez dziesiątki lat „problem rozwoju [postrzegano] jako zderzenie miliarda obywateli świata bogatych z pięcioma miliardami ludzi ubogich. [...] Lecząc z nadejściem 2015 roku stanie się oczywiste, że ten sposób myślenia o rozwoju jest przestarzały. Przeważająca część [z owych do niedawna biednych] pięciu miliardów, jakieś 80 procent z nich [tj. cztery miliardy], to mieszkańcy krajów, które rzeczywiście – i zaskakująco szybko – się rozwijają”¹⁰. Collier ma rację. W 2015 roku będziemy mieli raczej do czynienia z sześcioma miliardami ludzi bogatych lub bogacących się i trwale biednym miliardem na dzień¹¹. Wystarczy spojrzeć na coraz majątniejsze dziś Chiny i Indie. W tych krajach, wciąż ubogich w porównaniu z Hongkongiem czy Belgią, dochód realny na osobę rośnie w nadzwyczajnym, bezprecedensowym tempie od 7 do 10 procent rocznie, czyli dwa lub trzy razy szybszym niż gdzie indziej. Te stopy wzrostu to więcej, niż zdołały kiedykolwiek osiągnąć Stany Zjednoczone czy Japonia, i oznaczają czterokrotny wzrost zakresu ludzkich możliwości w ciągu zaledwie dwudziestu lub czternastu lat, czyli w niecałe pokolenie. Przy takim poziomie rozwoju w dwa pokolenia dochód realny na osobę wzrośnie szesnaście razy, sięgając poziomu 48 dolarów dziennie, czyli tyle, ile zarabiano się w USA w latach czterdziestych ubiegłego stulecia. Spostrzeżenie to daje nam pewne naukowe wyobrażenia na temat tego, co można zrobić dla miliarda na dzień.

Ale Collier twierdzi też, że „z początkiem lat osiemdziesiątych XX wieku obszar nędzy na świecie *po raz pierwszy w historii* zaczął się kurczyć”¹². Podkreślona część nie jest zgodna z prawdą (choć może chodziło tu o wielkości bezwzględne, a nie względne; w takim wypadku Collier mógłby nawet mieć rację). *Udział* ludzi ubogich w globalnej populacji spada od dwóch stuleci, a nie tylko od dwudziestu lat. Od początku XIX wieku

¹⁰ Collier 2007, s. 3.

¹¹ Populacja świata w 2009 roku wynosiła ok. 6,77 miliarda.

¹² Collier 2007, s. 4.

coraz liczniejszą w społeczeństwie grupą są osoby zarabiające 30, 48, 137 czy 280 dolarów dziennie. Jeszcze raz sięgnijmy po przykład Norwegii i Japonii, które niegdyś tkwiły w okrutnej nędzy. Historia daje nam pewne naukowe wyobrażenia na temat tego, dlaczego tak się stało i dokąd zmierzamy.

Sytuacja ostatnich dwustu lat na całym świecie sprzyjała zwyktemu człowiekowi, zwłaszcza osobie żyjącej w kraju burżuazyjnym. Weźmy przykład mojej dalszej kuzynki, z którą różni mnie jedno pokolenie – trzydziestopięcioletniej Evy Stuland, mieszkanki Dimmelsvik w regionie Hardangerfjord na zachodzie Norwegii. W 1800 roku ubóstwo naszych wspólnych przodków było na poziomie trzydolarowym. Przywodzi to na myśl Bangladesz. Ale w tej chwili, po dziesięciu pokoleniach, uczciwi, wykształceni i obdarzeni ropą naftową Norwegowie są na drugim miejscu na świecie pod względem wysokości przeciętnych dochodów. W cenach amerykańskich z 2006 roku przekłada się to na kwotę 137 dolarów dziennie, czyli ponad 50 tysięcy dolarów rocznie dla każdej osoby: mężczyzny, kobiety i dziecka. (Maleńki Luksemburg, gdzie przeciętna płaca na osobę wynosi 60 tysięcy dolarów rocznie, zajmuje miejsce pierwsze spośród 209 krajów. Kuwejt z kwotą 48 tysięcy dolarów jest na miejscu trzecim, a wielkie Stany Zjednoczone wloką się jako czwarte, co i tak przy 44 tysiącach dolarów rocznie jest w porównaniu do 1900 czy 1950 roku wzrostem nadzwyczajnym, a dla amerykańskiej biedoty wręcz oszałamiającym¹³). Przy takiej płacy Eva Stuland może sobie pozwolić na konsumpcję całkiem sporej ilości belgijskiej czekolady, domek letniskowy w górach i małe uroczysko audi (jej mąż Olaf jeździ bmw). Po uwzględnieniu w średniej konsumpcji *per capita* dofinansowania małych dzieci Evy i emerytury jej rodziców i babci jej *zarobki* oczywiście przekroczą 137 dolarów dziennie (zestawmy to z terapeutą AthletiCo). Obok innych Norwegów przepracowuje ona mniejszą liczbę roboczogodzin w roku niż obywatele innych krajów, a od pracoholików z Japonii czy ze Stanów Zjednoczonych dzieli ją prawdziwa przepaść. W chwili urodzin spodziewana długość życia Evy wynosiła osiemdziesiąt pięć lat. Dwójka jej dzieci zapewne będzie żyła jeszcze dłużej i będzie zamożniejsza, o ile nie postanowi zająć się sztuką lub dobroczynnością – wtedy satysfakcja z tak szlachetnej pracy będzie równoważnikiem dochodu¹⁴. W ujęciu *per capita* udział Norwegii

¹³ I tym razem wartości zostały wyrażone według parytetu siły nabywczej w Stanach Zjednoczonych, na podstawie: World Bank 2008.

¹⁴ Abbing 2002.

w międzynarodowych państwowych organizacjach charytatywnych wyprzedza wszystkie inne kraje. Eva wspiera niestosujące przemocy i demokratyczne instytucje. Ukończyła matematykę na uniwersytecie w Bergen. Pracuje jako aktuariusz w firmie ubezpieczeniowej, a sześć tygodni płatnego urlopu w roku spędza na Sycylii lub na Florydzie. Jej mąż (który w żadnym razie nie jest jej panem i władcą) przez kilka lat pracował jako nurek na platformach wiertniczych, a teraz jest zatrudniony w regionalnym biurze Statoil. W latach szkolnej młodości Eva czytała Ibsena po norwesku, a w uproszczonej angielszczyźnie również kilka dzieł Szekspira. Miała niewątpliwą przyjemność ujrzenia ich sztuk wystawianych za górami, na deskach Teatru Narodowego w Oslo. W jej domu rozbrzmiewają nagrania utworów Edvarda Griega, który nawet stanowi po kądzieli jej nie tak odległą rodzinę¹⁵.

Dlaczego to mogło się urzeczywistnić? Jak to się stało, że średni dochód na świecie skoczył z 3 dolarów dziennie do 30 dolarów? W jaki sposób Norwegowie z chorych nędzarzy, którzy dysponowali tylko rudymenarnymi wolnościami i kiepską edukacją, przeistoczyli się w ludzi bogatych, zdrowych, całkowicie wolnych i w większości wykształconych?

Według głównej tezy tej książki ów wyglądający niczym kij hokejowy zryw, wraz z towarzyszącymi mu zmianami kulturowymi i politycznymi, w przeważającej mierze *nie* miał podłoża typowo ekonomicznego. To znaczy, że jego przyczyny nie tkwią w europejskim handlu, holenderskich inwestycjach, brytyjskim imperializmie czy wyzyskiwaniu żeglarzy pływających na norweskich statkach. Wpływ ekonomii ogranicza się do kształtowania wątków osnowy całej tej historii. Tak jest zazwyczaj. To, kto zyskał, co dokładnie zostało wyprodukowane, gdzie i kiedy się to stało – oto materia ekonomiczna. To opowieść o dochodach, własności, zachętach i relacjach cen. I jeśli historyk nie rozumie ekonomii, to nie pojmie osnowy historii współczesności. Tę osnowę kształtowały handel bawełną i inwestycje w porty morskie, podaż silników parowych i popyt na edukację podstawową, koszt kutego żelaza i korzyści z kolei, wyzysk niewolników na plantacjach i uczestnictwo kobiet w rynku pracy. Ekonomia materialistycznego sortu na pewno wyjaśni powody, dla których Amerykanie palili drewnem i węglem drzewnym o całe dziesięciolecia dłużej niż mieszkańcy niezalesionej i bogatej w węgiel środkowej części północno-zachodniej Europy.

¹⁵ Eva jest postacią fikcyjną, choć tak naprawdę mam wiele takich krewnych w Dimmelsvik.

Uzasadnia też, dlaczego w 1840 roku brytyjskiej służącej podającej do stołu nie opłacała się inwestycja w wykształcenie albo dlaczego to nie Egipt, lecz Stany Zjednoczone dostarczały Manchesterowi i New Hampshire większość surowej bawełny, a także dlaczego protekcjonizm osłaniający amerykański przemysł bawełniarski krzywdzi dzisiejszych jej plantatorów z afrykańskiego Sahelu. Ekonomia może wytłumaczyć, jak przewaga komparatywna w przędzeniu bawełny przesunęła się najpierw z Indii do Anglii, a potem z powrotem do Indii.

Ekonomia jest jednak niezdolna do wyjaśnienia globalnego wzrostu przewagi (absolutnej) z 3 dolarów do 30 dolarów dziennie, o 137 dolarach nawet nie wspominając. To główna teza naukowa tej książki. Ekonomia nie mówi, skąd wzięło się ostrze kija hokejowego. Nie tłumaczy ani początków, ani dalszego trwania – i chodzi o skalę, a nie o szczegóły osnowy – wyjątkowego w historii świata współczesnego rozpowszechnienia się samochodów, wyborów powszechnych, komputerów, tolerancji, antybiotyków, mrożonej pizzy, centralnego ogrzewania i edukacji wyższej dla mas, czyli choćby dla Ciebie, dla mnie i dla Ewy. Jeśli ekonomistka nie rozumie historii, to nie pojmie tego najważniejszego dla historii naszych czasów zjawiska. Ekonomia burżuazyjna czy marksistowska nie widzi niespotykanej skali i egalitarnej dystrybucji korzyści z rozwoju. Dostrzega jedynie szczegóły wątków w osnowie wzrostu. Twierdzę, że siły materialne i ekonomiczne nie uruchomiły i nie utrzymują współczesnego rozkwitu, obserwowanego od zarania XIX wieku do dziś. Ekonomia w rzeczy samej jest najlepszym narzędziem wyjaśniającym co do geograficznego detalu to, jak wzbierający przypływ manifestował swoją obecność i jakim konkretnie żłebem wpływał do rzeki, powodując podniesienie się wód do ściśle określonej wysokości. Ale przyczyny samego przypływu były inne.

* * * * *

Jakie zatem? Twierdzę tutaj, i w następnych dwóch tomach wspieram swoją tezę na inne sposoby, że rewolucję przemysłową spowodowała innowacyjność (a nie inwestycje czy wyzysk). Wielu historyków i ekonomistów się z tym zgodzi, więc w tej części mojego wywodu nie będzie niczego zaskakującego. Ale wskazuję też – i tu do wsparcia skłonna jest już mniejsza liczba historyków i jeszcze skromniejsza garstka ekonomistów – że przyczyną innowacji jest język, etyka i idee. Etyczna (i nieetyczna) rozmowa kieruje światem. Jedna czwarta dochodu narodowego bierze się

z prawienia duserów na rynku i w zarządach przedsiębiorstw¹⁶. Być może ekonomia i jej liczni szermierze powinni ten fakt zaakceptować. Gdy tego nie czynią, wpadają w tarapaty – jak wtedy, gdy skłaniają banki do lekceważenia zarówno profesjonalnego języka, jak i ich etyki jako powierników, i zamiast tego do polegania wyłącznie na milczących i pieniężnych zachętach, takich jak wynagrodzenia kadry kierowniczej. Ekonomiści oraz ich gorliwi uczniowie decydują się na samą tylko roztropność, wyłączając inne ludzkie cnoty – sprawiedliwość, umiarkowanie, miłość, męstwo, nadzieję i wiarę – i odpowiadające im grzechy zaniechania lub czynnego występku. Teoretycy roztropności wzbraniają się przed użyciem języka etyki, nawet w już przecież rozgadanej sferze bankowości. Poleganie na samej tylko roztropności może być dość skuteczne przynajmniej w niektórych obszarach gospodarki. Sama tylko roztropność (i milczące zachęty) będzie dobrym wyborem dla osób chcących zrozumieć pokrzyty arbitraż stóp procentowych na rynku walutowym. Ale nie zdoła wyjaśnić najbardziej zdumiewającego ze zjawisk.

Ściślej mówiąc, trzy stulecia temu w takich miejscach jak Holandia i Anglia sposób mówienia i myślenia o klasie średniej zaczął się zmieniać. W zwykłych konwersacjach zaczęto odnosić się do innowacji i rynku bardziej przychylnie. Naukowcy zajmujący się wysoką teorią zaczęli odważniej przewartościowywać swoje uprzedzenia wobec burżuazji, których tradycja już wtedy sięgała tysiącleci. (Niestety w Chinach, Indiach, Afryce czy imperium osmańskim w sposobie rozmowy, w uprzedzeniach ani w teorii podobna przemiana nastąpiła nie od razu. Dziś w tych miejscach, mimo oporu europejskich postępów i pozaeuropejskich tradycjonalistów, Rubikon został już przekroczony). Sposób rozmowy w regionie Morza Północnego w końcu radykalnie zmienił tamtejszą gospodarkę, politykę i retorykę. Około XVII wieku w północno-zachodniej Europie powszechne przekonania stały się łaskawsze dla burżuazji, zwłaszcza dla jej działalności handlowej i dla innowacji. Zmianę tę można uznać za względnie gwałtowną. W XVIII i XIX wieku nastąpił ogromny przewrót w sferze tego, co Alexis de Tocqueville określał mianem „nawyków umysłu” – czy właściwie nawyków języka. Ludzie przestali szydzić z innowacyjności rynku i z innych cnót burżuazyjnych, które praktykowano z dala od zwyczajowych miejsc chwały, takich jak Bazylika św. Piotra, pałac wersalski czy skąpane we krwi pola pierwszej bitwy pod Breitenfeld.

¹⁶ McCloskey i Klammer 1995.

Na chwilę pozwolę sobie skierować kilka słów do moich przyjaciół ekonomistów: część z nas, stanąwszy w obliczu rodzącej się świadomości tego, jak gruntowna przemiana nastąpiła w XVIII, a zwłaszcza w XIX i XX wieku, zdołała uratować swoje modele dzięki odwołaniu się do „nien liniowości”, „korzyści skali” i „wielu równowag”. I choć tego rodzaju wybiegi stanowią radosną gimnastykę intelektualną, to jednak z naukowego punktu widzenia są daremne. Inni jeszcze ekonomiści – prowadzeni obecnie przez zaskakującą grupę historyków gospodarczych zdecydowanie skupiających się na teorii wzrostu i przez teoretyków wzrostu zdecydowanie skupiających się na historii – twierdzą zamiast tego, że w Europie, a zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, od stuleci trwały przygotowania do nadejścia ostrza kija hokejowego. Motyw tej nowej opowieści przypomina motyw starszej opowieści, przypisującej nadzwyczajność Europy jej starożytnej cywilizacji, chrześcijańskiej i zarazem humanistycznej, która wywodziła się z Izraela i Grecji, a później dotarła do leśnych plemion germańskich. Kłopot w tym – i z zadziwieniem przyznają to najlepsi ekonomiści – że Indie, kraje arabskie, Iran i Chiny, a zwłaszcza Japonia były równie nadzwyczajne i gotowe na przyjęcie owego ostrza. Wiele z takich bogatych obszarów o wiele wcześniej – jak w wypadku siedemnastowiecznych Chin, piętnastowiecznych północnych Włoch, dziesiętowiecznego świata arabskiego i pierwszowiecznego Rzymu – mogło się poszczycić tak chwalonymi przez ekonomistów niskimi stopami procentowymi i dobrze skonstruowanymi prawami własności. Lecz przez całe tysiąclecia żadne ostrze kija hokejowego się nie pojawiło¹⁷. Stało się to dopiero wówczas, gdy nadeszła zmiana ideologiczna.

* * * * *

Stawiam tezę, że gospodarka w okolicach Morza Północnego wielokrotnie przerosła oczekiwania w XVIII, szczególnie w XIX, a już zwłaszcza w XX wieku nie ze względu na takie mechanistyczne czynniki gospodarcze jak rozmiar handlu zagranicznego, stopa oszczędności czy nagromadzenie kapitału ludzkiego. Takie efekty były przyjemne, lecz wtórne. Gospodarka Morza Północnego, następnie atlantycka, a w końcu światowa rosły za sprawą zmieniającego się sposobu mówienia o rynku, przedsiębiorczości i wynalazczości. Technicznie rzecz biorąc (wciąż kieruję swoje

¹⁷ Świeża i gruntowna kwerenda w: Zanden 2009. Na s. 289 i w wielu innych miejscach Autor przyznaje, że Chiny i Japonia były gotowe.

słowa do moich przyjaciół ekonomistów), nowa forma konwersacji była wybuchem, który gwałtownie rozepchnął ramy skrzynki Edgewortha. Nie doszło tu ani do żadnego optymalnego w sensie Pareto przesunięcia dzięki handlowi wewnątrz stałych granic skrzynki, ani do realokacji wzdłuż krzywej kontraktu na skutek agresji, ani do umiarkowanego rozszerzenia się tej skrzynki dzięki inwestycjom – a jednak to o tych trzech hipotezach ekonomiści chcieliby mówić najwięcej, gdyż rozumieją je najlepiej. Stało się inaczej: krzywa możliwości produkcyjnych i rozmiary skrzynki Edgewortha wybuchły w gwałtownej ekspansji i z punktu widzenia konwencjonalnej ekonomii było to niewytłumaczalne¹⁸.

W rzeczy samej rozumowanie tu przedstawione nie powinno szokować prawdziwego ekonomisty. Od lat siedemdziesiątych XIX wieku wszyscy przedstawiciele tej nauki zdają sobie sprawę, że zajmują się materią, która rodzi się w ludzkich głowach. Wiedza ta jest wynikiem rozważań w obrębie neoklasycznej ekonomii mengerowskiej albo marshallowskiej i przymysłów instytucjonalizmu lub współczesnego marksizmu. Gospodarkę napędzają wartościowania, opinie, poczta pantoflowa, wyobrażenia, oczekiwania czy nadzieja. Innymi słowy, dobry ekonomista wcale nie musi być przeczącym sile idei materialistą. Wręcz przeciwnie. Robert Lucas, mogący się poszczycić ogromnym wkładem w teorię wzrostu, oświadczył, że „aby w społeczeństwie rozpoczął się wzrost dochodu, duża jego część musi doświadczyć zmian w sposobie, w jaki wyobrażają sobie przyszłe życie – swoje i swoich dzieci”. Ujmując to inaczej, „rozwój gospodarczy wymaga «milion buntów»”¹⁹. Wypowiedź Lucasa ma charakter raczej psychologiczny, podczas gdy teza przedstawiona tutaj jest bardziej socjologiczna i retoryczna. Niezależnie od tego wiara w to, że w XVII i zwłaszcza w XVIII wieku nawyki języka znacząco się zmieniły z przyczyn nie-rzadko ciekawych i chwalebnych – niekiedy w ostatecznym rozrachunku materialnych, a niekiedy autonomicznie retorycznych – wcale nie odbiera konwencjonalnej ekonomii należnego jej miejsca. Oznacza tylko rzetelne wzięcie pod uwagę roli mowy w gospodarce i w społeczeństwie. Tym samym inauguruje humanistyczną naukę ekonomii, przez ekonomistę Barta Wilsona nazywaną „humanomiką”. To język, a nie materialne

¹⁸ To ujęcie tematu zawdzięczam rozmowie, którą w sierpniu 2009 roku odbyłam z Karlem Wärnerydem z Wyższej Szkoły Handlowej w Sztokholmie.

¹⁹ Lucas Jr. 2002, s. 28. Choć w swojej książce Zanden (2009) używa słów Lucasa jako motta, to badany przez tego pierwszego okres kończy się jeszcze przed początkiem XIX wieku – wieku miliona buntów.

przemieszczenia w sferach handlu zagranicznego i inwestycji krajowych, stał się źródłem nieliniowości czy (w kategoriach bardziej konwencjonalnej teorii) ekspansji krzywej możliwości produkcyjnych albo wyobrażeń o przyszłym życiu. Empirycznie możemy o tym mówić dlatego, że handel i inwestycje były czymś normalnym już w starożytności, ale godność i wolność dla zwykłych ludzi pojawiły się dopiero w omawianym okresie i jako takie były zjawiskiem nowym. Wyjątkowy był prekursorski klimat perswazji, przesycający sklepy, ulice i kawiarnie zaludnione przez burżuazję. Postaram się przekonać Ciebie, materialistyczny ekonomisto, że tak właśnie było.

ROZDZIAŁ 2.

TO LIBERALNE IDEE LEGŁY U PODŁOŻA INNOWACJI

Przewrót w sposobie mówienia i myślenia o burżuazji (wracam już do wszystkich Czytelników) prawdopodobnie odegrał większą rolę jako czynnik wyjaśniający genezę współczesności niż dwa historyczne wątki: reformacyjny ruch kapłanów w Niemczech po 1517 roku i renesans, który arystokracja wprowadzała w ruch podczas tokańskiego *trecento* i później. Oba te wątki wpłynęły oczywiście na sposób rozmowy. Jednak nawet większe znaczenie mogła mieć trzecia wielka zmiana na literę „r”, czyli udane współczesne *rewolty* i *rewolucje*, które wybuchały na przestrzeni ponad dwóch wieków, ruszając z posad Holandię, Wielką Brytanię, Amerykę i Polskę, a w końcu i Francję z jej napoleońskimi podbojami. Tu zajmujemy się jednak czwartą zmianą: specyficznym (na pewien czas) dla Europy „burżuazyjnym *przewartościowaniem*”^{*}, rozkwitłym pokojowo w XVII i XVIII wieku w Holandii i Wielkiej Brytanii. Ogromne bogactwo współczesnego świata można sobie wyobrazić bez renesansu, reformacji i nawet bez rewolucji, niezależnie od ich przełożenia na nasze obecne życie. Ale nie sposób oderwać tegoż bogactwa od *przewartościowania*. Dawną klasę mieszczańską, przedtem pogardzaną przez kler, arystokrację i chłopstwo, zaczęto uznawać – w mowie i myśli, w europejskiej retoryce odnoszącej się do działań klasy średniej – za mającą godność. Do tej nowej godności dołączała nowa wolność. I obie – godność i wolność – były z natury retoryczne.

Wiara, jedna z siedmiu cnót podstawowych, jest cnotą patrzenia wstecz, posiadania tożsamości¹. Miej wiarę. Godność zachęca do gorliwej wiary. Godność zyskujesz, zachowując siebie, będąc tym, kim jesteś i byłeś najprawdziwiej. Mieszkanką Chicago. Naukowcem. Kobieta. Nadzieja jest inna; jest cnotą patrzenia naprzód, posiadania zamiaru. Wolność

* „Przewartościowanie”, czyli ang. *revaluation*, to kolejne słowo zaczynające się od litery „r”. W języku polskim słowo „rewaluacja” ma już jednak inne znaczenie (przyp. JL).

¹ Pełna obrona tej i innych kategorii cnót w: McCloskey 2006a, zwłaszcza na s. 151–194.

zachęca do nadziei. W granicach nieszczęsnej rzadkości wolno porwać się na każde przedsięwzięcie. Zmienić siebie. Zacząć zarabiać na produkcji kluczy nastawnych. Stać się profesorem asyriologii. Twierdząc, że nowoczesność zawdzięczamy nowej, gorliwie wyznawanej godności, przyznanej burżuazji, gdy ta zaczynała zajmować swoje miejsce w świecie, i nowej, gorliwie wyznawanej wolności, która pozwoliła burżuazji pójść naprzód. Zajęcie należnego miejsca w społeczeństwie i przedsięwzięcie – godność i wolność – były czymś nowym w retoryce dotyczącej burżuazji.

Oba te elementy były konieczne. Moi libertariańscy przyjaciele chcieliby, aby wystarczyła wolność. Nie wystarczy. Zmiana prawa też nie wystarczy (choć to dobry początek – złe prawo rzeczywiście może zdusić rozwój w zarodku). Prawda jest taka, że od XVII wieku nowa godność i nowa wolność wzajemnie się wzmacniały. Ekonomista może pojmować sprzężenie tego rodzaju jako potencjalne źródło „nieliniowości”. Godność i wolność na pewno trudno od siebie oddzielić². Ale godność jest czynnikiem socjologicznym, a wolność ekonomicznym. Godność to rzecz opinii, jaką ludzie mają o sprzedawcy. Wolność to rzecz praw, jakie go dotyczą. Społeczeństwo i gospodarka wzajemnie na siebie wpływają. A jednak wbrew materialistycznemu redukcjonizmowi nie są tym samym. Prawa mogą się zmienić bez zmiany przekonań. Przykładem jest obowiązująca od ponad dziewięćdziesięciu lat prohibicja wymierzona najpierw w sprzedaż alkoholu, a później narkotyków. Przekonania zaś mogą się zmienić bez zmiany praw. Przykładem są trwające dziesiątki lat dążenia niepodległościowe kolonistów w brytyjskiej części Ameryki Północnej.

Współgranie godności i wolności ma znaczenie. Pozbawiona godności wolność, jakiej doświadczał poza swoim miastem wędrowny handlarz w średniowiecznej Europie, Chinach, Azji Południowej czy Afryce odziera działanie z poczucia wartości – sprawia, że staje się ono wprawdzie niestrudzonym, ale niskim i przepełnionym pogardą do siebie frymarcheniem. W 1931 roku Willa Cather pisała o „nerwowych, małych mężczyznach, usiłujących niczym pchły obskoczyć swój teren”, biegunowo odmiennych od podziwianych przez nią wczesnych burżuazyjnych zdobywców Środkowego Zachodu Ameryki, R.E. Dillona i J.H. Truemana, który doprawdy był prawdziwym mężczyzną^{3,*}. Gdy pozbawi się burżuazyjną pchłę

* Nazwisko Trueman jest zbitką ang. *true* (prawdziwy) i *man* (mężczyzna), co dosłownie znaczy „prawdziwy mężczyzna” (przy. J.L.).

² Jak przekonywał mnie ekonomista Daniel Klein.

³ Cather 1931, s. 675.

godności, wnet stanie się ona dogodnym celem nagonki politycznej, społecznej i literackiej, co rodzi – jak w Hiszpanii Habsburgów, Bourbonów i faszystów – zatruty owoc złej polityki gospodarczej, czyli życie za 3 dolary dziennie. Pouczającym przykładem są europejskie dzieje Żydów, którzy zgodnie z prawem uzyskali wolność w XVIII i XIX stuleciu, ale wciąż odmawiano im godności – co przyniosło opłakane skutki w postaci rosyjskich pogromów, antysemitkiej polityki Wiednia i w końcu Ostatecznego Rozwiązania.

Podobnie godność bez wolności daje status bez nadziei, czyli jeszcze jedno z wcieleń hierarchii zamierzających czasów, tak wyraźnie widoczne w opanowanych przez gildie kupieckie w przeregulowanych miastach – Wenecji czy Lubece. Wielokrotnie, w różnych momentach historii, zdarzało się, że żywa, innowacyjna burżuazja osiadała na laurach lokalnej władzy politycznej i porzucała innowacyjność. Taki los wybrał (przynajmniej do przebudzenia w XIX wieku) szwajcarski „patrycjat” czy holenderscy „regenci”. Arystokracja kupiecka w Wenecji w 1297 roku stała się zamkniętą kastą, a jednak Wenecjanie, dzięki swemu niespotykanemu patriotyzmowi i uporowi zdołali utrzymać kontrolę nad lukratywnym handlem z Dalekim Wschodem jeszcze przez wiele stuleci. Znacznie częściej obserwujemy rozwój oligarchii, później jej zamknięcie się, a na koniec skostnienie. Zasypanie gruszek w popiele i zgarnianie renty jest dużo przyjemniejsze niż parcie do przodu. Gdyby burżuazja ostatecznie wtopiła się w elitę, płacąc za to porzuceniem innowacyjnej postawy czujności i myślenia perspektywicznego, dzisiejszy świat wyglądałby bardzo podobnie do *ancien régime* w północnych Włoszech czy w Hanzie, a dzienne zarobki utknęłyby na poziomie 1–5 dolarów.

Opisywany przeze mnie przewrót, czyli zapoczątkowane w Holandii burżuazyjne przewartościowanie zachodzące od XVII do XIX wieku, miał ogromną skalę. Konieczne okazało się przekonanie ludzi, by przystali na skutki innowacji. Było to kulturowe zadanie o nadzwyczajnej złożoności: stworzenie czegoś, co w 1942 roku znamienity ekonomista Joseph Schumpeter, patrząc z nostalgią na Europę tuż przed pierwszą wojną światową, nazwał „cywilizacją szanującą biznes”. A jednak, dzięki serii szczęśliwych zbiegów okoliczności i przypadków, po raz pierwszy i wyjątkowo udało się to w północno-zachodniej Europie. Przewartościowanie wzniosłego ideału z rzeczy zawężonej li tylko do bohaterstwa, świętości czy wyszukanych manier zmieniło zarówno społeczeństwo, jak i politykę. Honor – „Honorem?!”, fuknie arystokrata – stało się wynalezienie maszyny wytwarzającej śrubki albo wybranie się z misją handlową do Katalu. Lec

Tocqueville'owskie „nawyki serca” tak bardzo się nie zmieniły. Przewartościowanie napędzała nie psychologia (jak w 1905 roku twierdził Max Weber, a w 2002 roku Robert Lucas) i nie ekonomia (co w 1848 roku zgodnym chórem obwieszczali Karol Marks i Fryderyk Engels, by w 1990 roku zawtórował im Douglass North), lecz raczej socjologiczne, historyczne i polityczne. To znaczy, że wśród elit pojawił się nurt – najpierw na początku XVII wieku rwący z dużą siłą w Holandii, a potem w innowatorskiej Wielkiej Brytanii około 1700 roku już zadomowiony i znacznie potężniejszy – przewartościowania postrzegania roli miasta z jego wulgarną i wichrzycielską kreatywnością.

John Lilburne – wywodzący się ze stanu szlacheckiego londyński radykał kupiecki (urodzony w pałacu królewskim w Greenwich), a podczas angielskiej wojny domowej po 1642 roku leweller – w 1653 roku wskazał jako prawo boskie i prawo swego kraju, że „żaden człowiek [...] nie może zostać pociągnięty do odpowiedzialności za jakikolwiek czyn, który materialnie nie krzywdzi ciała, majątku bądź dobrego imienia innej osoby”⁴. Daj nam spokój, mospanie, dopóki nie kradniemy. Tak oto już w latach sześćdziesiątych XVII wieku holenderski sukiennik Pieter de la Court deklarował, że „możność korzystania z naturalnych praw i majątku na rzecz bezpieczeństwa własnego [niedługo potem do użytku wszedł zwrot o «poszukiwaniu szczęścia»] dla pospólstwa stanie się [...] rajem na Ziemi: wszak wolność rozumu człowieka, zwłaszcza odnosząca się do składników jego osobistego dobrobytu, jest dlań równie wartościowa jak wszelkie królestwa albo imperia”⁵. Lecz proszę, niech nie będą to imperia czy królestwa arystokracji! Jesteśmy przecież burżuazją, pragniemy więc jedynie wolności powszedniego poszukiwania szczęścia. W 1690 roku współpracujący z imperium osmańskim angielski kupiec Dudley North (pochodzący z rodziny szlacheckiej) pisał w sposób nawet bardziej nowoczesny, ekonomiczny i burżuazyjny, że „nie może być handlu, który by nie przynosił korzyści ogółowi, gdy bowiem handel jakiś okazuje się niekorzystny, to ludzie przestają się nim zajmować; gdzie zaś powodzi się kupcom, tam i ogół, którego oni są częścią, prosperuje”⁶. Zatem – sugerowali tacy jak

⁴ Lilburne 1653. H.N. Brailsford chwali ten ustęp po jego przytoczeniu jako „jeden z pierwszych i jeden z najśmielszych wyrazów liberalnego credo”, odnotowując jego ściśle libertariańskie implikacje – lecz naraz, w duchu kolektywizmu brytyjskiej lewicy z 1961 roku, odrzuca je (Brailsford 1961, s. 75).

⁵ De la Court 1662, s. 417.

⁶ North 1691, s. 745. Dla uniknięcia niepotrzebnego dystansu tu i ówdzie uwspółcześniałam pisownię oraz interpunkcję. Wybitny krytyk literacki Stephen Greenblatt

Pierre de Boisguilbert teoretycy życia burżuazyjnego z pierwszej połowy XVIII wieku – *laissez faire* (pozwólcie czynić, w wolności od regulacji), co później przerodziło się w maksymę *laissez passer* (pozwólcie przechodzić, czyli handlujcie, czym zapragniecie)⁷.

Tego rodzaju prorynkowe opinie nie stały się nigdy powszechne. Mimo że widownię sztuk Szekspira w dużej mierze stanowili kupcy i terminatorzy z przesiąkniętego przez biznes Londynu, jedynymi dotyczącymi burżuazji utworami angielskiego dramaturga są *Kupiec wenecki* i *Wesołe kumoszki z Windsoru*. W *Kupcu weneckim* burżuanin Antonio jest oglupiony przez ślepą miłość do arystokraty Bassanio, a drugą ważną postacią burżuazyjną jest Shylock. Wszystkie inne dzieła wielkiego barda opiewają pełnych honoru szlachciców, komicznych chłopów lub uroczych pasterzy (rzuca się w oczy, że księża występują sporadycznie). Postacie honorowe zamiast komiczną prozą mówią blankversem (*Wesołe kumoszki* to niemal w całości proza, którą u Szekspira posługuje się burżuazja/pospólstwo), co odzwierciedla ówczesną socjologię godności i hierarchiczne konwencje elżbietańskiego teatru. Od czasów Szekspira musiało upłynąć ponad sto lat, aby elita stopniowo zaczęła odnosić się do kreatywności komercyjnej jako do rzeczy właściwej, aprobowanej i której nie należało lekceważyć – czyli tak, jak wpierw było u Daniela Defoe, później w esejach i sztukach Addisona i Steele’a, w „tragediach burżuazyjnych” wystawianych na scenach Anglii, Francji i Niemiec, a w końcu zwłaszcza w europejskiej prozie współczesnej. Dwa stulecia po Szekspirze nawet bohaterowie powieści Jane Austen, choć nie pochodzą ze stanu zajmującego się handlem, myślą kategoriami rozwagi i romantyzmu, roztropności i miłości. Sama nieoceniona Jane pisała w listach z entuzjazmem o własnym burżuazyjnym biznesie twórczości literackiej, ciesząc się otrzymanymi honorariami. A jednak nawet

chwali oksfordzkie wydanie (1986) modernizujące szekspirowską pisownię za to, że pozwala odejść od „swoistej czarującej staroświeckości języka staroangielskiego” (Greenblatt 1997, s. 73). Dowodem na odległość dzielącą nas od *olde ffolke* [staroang. określenie „przodków” (przyp. JL)] nie powinny być ich zaprzeszłe konwencje interpunkcji i pisowni, lecz ich – dla nas dziwaczne – myśli. Z tego samego powodu wszędzie poza tytułami zmieniałam pisownię brytyjską na amerykańską, jak w wyrazie „honor” [„honor” zamiast bryt. „honour” (przyp. JL)]. Czasem jednak nie moge się oprzeć pozostawieniu końcówki „-eth” [archaizm; pochodząca ze staroangielskiego 3. średnioangielska końcówka trzeciej osoby liczby pojedynczej czasu teraźniejszego trybu oznajmującego, np. „thou sayeth” (przyp. JL)] w cytatach pochodzących z XVI wieku. Jest taka czarująca i staroświecka.

⁷ Tribe 1995; Rothschild 2001, s. 20.

w Wielkiej Brytanii antykomercyjny snobizm nie w pełni odszedł do lamusa. Dostrzec go można w skierowanej do Harriet Smith złej radzie Emmy Woodhouse, czyli tytułowej bohaterki powieści *Emma* (1815), aby ta pierwsza nie wychodziła za mąż za pospolitego burżuazyjnego farmera Roberta Martina. Jeden z braci Jane przez jakiś czas był należącym do *haut bourgeois* bankierem – choć dwóch innych skończyło jako arystokratyczni admirałowie Królewskiej Marynarki Wojennej. Wartości chrześcijańskie i szlacheckie nigdy zupełnie nie opuściły wyobraźni ludzi Zachodu bądź Wschodu. Niekiedy były nikczemne, jak w wypadku japońskiego militarizmu czy amerykańskiego fundamentalizmu. Niekiedy jednak wspinały się do pełni etyki burżuazyjnej.

Nadejście opierającej się na wolności części przewartościowania okazało się, co wyraźnie dało się odczuć, równie powolne. W ostatecznym rozrachunku hegemonia nieliberalnego, antyburżuazyjnego i w rzeczy samej niedemokratycznego establishmentu w polityce Wielkiej Brytanii nigdy całkowicie nie zniknęła – co widać w brytyjskim serialu komediowym z lat osiemdziesiątych XX wieku pt. *Tak, panie ministrze*. Jak dawno temu wskazywała historyczka Margaret Jacob, a niedawno potwierdził to historyk Jonathan Israel, głoszone przez „radykalne oświecenie” lewellerów, de la Courta, Spinozy, Mandeville’a, Rousseau, Paine’a, Benjamina Rusha, Mary Wollstonecraft i niektórych wolnomularzy (trafna nazwa) idee wolnego rynku i wolnych wyborów zostały przez bardziej konserwatywnych koryfeuszy oświecenia, takich jak Locke, Newton, Wolter, Adam Smith, John Adams, i innych wolnomularzy wyparte i ograniczone do samej tylko bezwzględnej wolności handlu – jednej z wielu spraw popieranych przez radykałów. Zauważmy przy tym, że w obu grupach byli ludzie podziwiający burżuazję⁸. (Oczywiście siły reakcyjne przez całe stulecie prowadziły zażartą walkę z oboma przejawami oświecenia, odbierając wrogom wolność, a czasem życie. Szwedzki ekonomista i historyk Eli Heckscher wyliczył, że obowiązujące we Francji między 1686 a 1759 rokiem przepisy zakazujące importu drukowanego perkalu – które miały chronić wytwórców bawełny i tkanin płóciennych, czyli starą, merkantylistyczną burżuazję – „kosztowały mniej więcej 16 tysięcy istnień ludzkich wskutek po części egzekucji, po części starć zbrojnych, i to nie licząc nieznaney, choć z pewnością o wiele większej liczby [...] zesłanych

⁸ Jacob 1981 (2006); Israel 2001. Israel chciałby wszystko to przypisać Spinozie, odrzucając na bok lewellerów i wolnomularzy (Israel 2001, s. 21; tamże napomyka o Jacob).

na galery. [...] W jednym tylko przypadku w Valence 77 osób skazano na powieszenie, 58 na łamanie kołem, 631 zesłano na galery”⁹).

Lecz w wielu miejscach na północnym zachodzie Europy przewartościowanie i nowe liberalne wartości burżuazyjne zwyciężyły, przynosząc oszałamiający rozkwit gospodarczy. Zdaniem historyczki techniki Christine MacLeod w Wielkiej Brytanii ostateczne wyniesienie postaci wynalazcy na ołtarze nastąpiło na początku XIX wieku. Jak to zwykle bywa z ideologiami, także zwrotu retorycznego zapoczątkowanego w siedemnastowiecznej Holandii należało doglądać. MacLeod opowiada choćby o prowadzonej przed 1834 rokiem kampanii mającej na celu postawienie na terenie kolegiaty św. Piotra w Westminsterze – wśród królów, księży i poetów – dużego posągu, przedstawiającego wynalazcę silnika parowego z oddzielnym skraplaczem Jamesa Watta (1736–1819; posąg przeniesiono później do kaplicy św. Piotra): „Nie po to, aby unieśmiertelnić”, napisano na tablicy pamiątkowej, „imię, które przetrwa tak długo, jak długo będą rozkwitać pokojowe sztuki, lecz aby wyrazić, że ludzkość nauczyła się oddawać cześć tym, którzy najbardziej zasługują na jej wdzięczność [takim jak James Watt], którzy zwielokrotnili bogactwo swego kraju i potęgę człowieka, wznosząc się do godności równej najznamienitszym rzecznikom nauki i prawdziwym dobroczyńcom tego świata”. Pewien żyjący podówczas człowiek grzmiał: „Cóż takiego ta wielka postać ma uosabiać, jakąż to klasę interesów dotąd nieznaną [coż, wcale nie takich «nieznanych»], jakąż rewolucję, rzekomo wywracającą cały ustrój nowoczesnego społeczeństwa”¹⁰. Pytał, nie wiedząc, że jego czasy już minęły. MacLeod wzmiankuje, że nie dalej niż 22 kwietnia 1826 roku „The Times” obwołał wynalazców „wybrańcami rodzaju ludzkiego”¹¹. Badając lata trzydzieste XIX wieku, dostrzegła też „wyraźną zmianę nastawienia sędziów i przysięgłych wobec właścicieli patentów. [...] W sporach prawnych bilans wygranych spraw przesunął się na korzyść dochodzących roszczeń za naruszenia patentów, gdyż w ich właścicielach zaczęto zamiast zachłannych monopolistów [typowych choćby dla czasów elżbietańskich] widzieć dobroczyńców narodu” w sześćdziesiąt lat po tym, jak Adam Smith przedstawił argumenty na ich rzecz¹². Prawdziwych dobroczyńców zaczęto widzieć w komercyjnych innowatorach i krzewicielach „nauki” (nawia-

⁹ Heckscher 1931, s. 173.

¹⁰ Dean Stanley w 1834 roku, cytata za: MacLeod 1998, s. 96.

¹¹ MacLeod 1998, s. 108.

¹² MacLeod 1998, s. 108.

sem mówiąc, pojęcia tego używano wówczas nadal w dawnym znaczeniu: Watt był wytwórcą narzędzi, a nie takim orędownikiem „nauk” fizycznych w rozumieniu później rozpowszechnionej w języku angielskim definicji jak choćby jego przyjaciel chemik i fizyk Joseph Black, ojciec termodynamiki).

Godność przypisywana innowacji, wolności i przedsiębiorczości często nadal budzi sprzeciw; właśnie ze względu na tego rodzaju złe początki i złą atmosferę niektóre kraje pozostają ubogie. Doprawdy, gdyby amatorzy dotowania amerykańskich wytwórców bawełny mieli w sobie za grosz wstydu, to wschodnie Burkina Faso i pozostałe obszary Sahelu radziłyby sobie lepiej. Porażki moralne północnej hemisfery, których przykładem jest retoryka „protekcjonizmu” i „konkurencyjności” rozumianych w kategoriach gry o sumie zerowej, służą jedynie konserwowaniu biedy w innych krajach. Lecz mimo złych warunków początkowych, złego klimatu i nieetycznych rozwiązań politycznych na Północy – która daje własnym bogatym rolnikom i związkom zawodowym możliwość z jednej strony korzystania z parasola ochronnego, a z drugiej konkurowania przez uniemożliwienie innym konkurowania – te uboższe obszary nie muszą takimi pozostać. Co różni dzisiejszy Bangladesz, którego mieszkańcy należą do miliarda na dzień, od Norwegii czy Japonii na początku XIX wieku, kiedy bieda i tam wydawała się beznadziejnym odwiecznym krzyżem Pańskim, który należało nieść bez skarg (nagroda czekała w Niebie). Gdy w stabilnej tyranii, takiej jak Chiny, albo w niestabilnym państwie prawa, jakim są Indie, przewartościowanie dotknęło rynku i innowacji, dając ludziom częściową swobodę handlu, nastąpiła prawdziwa eksplozja dóbr, która zaopatrzyła przeciętnego mieszkańca tych krajów w jedzenie, dach nad głową i edukację. O ile (powtórzę swoje zastrzeżenie) obywatele Chin i Indii nie zawrócą ze ścieżki innowacji, to w ciągu kilku pokoleń będą mogli się cieszyć takim standardem życia jak dziś Eva. Udało im się już wejść do kręgu opisywanych przez Colliera czterech do sześciu miliardów ludzi na szczycie. Wyobraźmy sobie rozkwit artystyczny i intelektualny, będący następstwem zyskania przez 37 procent światowej populacji majątku umożliwiającego sięgnięcie po pióro, flet czy klawiaturę. Jego powodem jest wewnętrzna przemiana etyczna, która nastąpiła w Europie w jutrzence XVIII wieku.

W 1700 roku „kapitalizm” wcale nie był czymś wcześniej niespotykanym. Historia rynku i własności pozarolniczej, wraz z władającą nimi mieszczańską klasą średnią, jest bardzo długa. Wbrew temu, co może dane być Tobie usłyszeć, gospodarka rynkowa istniała od czasów

jaskiniowych. Antropolog Jack Goody uważa, że „od niepamiętnych czasów handel był nieodzowny dla rozwoju ludzkości, w tym dla rozwoju instytucji rynku i pojawienia się jednostkowych specjalistów (później kupców)”¹³. Na przykład pełny system językowy, jaki wyłonił się wedle niektórych ustaleń gdzieś między 70 000 rokiem p.n.e. a 50 000 rokiem p.n.e. w naszej afrykańskiej kolebce, przejawia się w badaniach archeologicznych w postaci nagłego i znaczącego wzrostu odległości pokonywanych w transporcie kamiennego surowca (takiego jak krzemień czy obsydian) do wyrobu narzędzi – dziesiątek i setek kilometrów zamiast kilku. I tak było przez tysiące lat. Wynalazek rolnictwa wymagał istnienia siedzib ludzkich otoczonych umocnieniami obronnymi chroniącymi zebrane plony; po 8000 roku p.n.e. wśród takich osad były znajdujące się na terenie dzisiejszego Izraela Jerycho i Çatalhöyük w obecnej Turcji. Przez tysiąclecia jedno za drugim rodziły się podobne miasteczka, dysponujące rynkiem i funkcjonującą w jego ramach burżuazją i jej interesami. W trzecim tysiącleciu p.n.e. mieszczańscy kupcy z doliny Indusu, należącej dzisiaj do Pakistanu, eksportowali nasiona i bawełniane tkaniny do osad sumeryjskich na południu współczesnego Iraku. Starożytny jest kredyt i stanowiąca jego przesłankę akumulacja pieniędzy¹⁴. Metalowe monety wytłaczane lub odlewane wynaleziono około VIII lub VII wieku p.n.e. jednocześnie w Chinach, Indiach i dzisiejszej Turcji. Ale ludzie już wcześniej korzystali z ekwiwalentów pieniądza: miedzianych lub żelaznych sztabek, zwojów srebrnego drutu, krów, muszelek, ziaren kakaowca czy kawałków tkanin zastępujących pieniądze w Pradze w 965 roku n.e.¹⁵ Ogromny rynek w Tlatelolco nieopodal Tenochtitlan (oba leżą w obrębie dzisiejszego miasta Meksyk) w 1519 roku n.e. w ciągu jednego dnia obsługiwał dziesiątki tysięcy klientów płacących ziarnami kakaowca. „Co najmniej od trzeciego tysiąclecia p.n.e.”, pisze historyk gospodarczy George Grantham, „farmerzy z niektórych wysp Morza Egejskiego wytwarzali oliwę z oliwek i wino w ilościach znacznie przekraczających potrzeby konsumpcji wewnętrznej”¹⁶. Ich bilans handlu wyrównałyby substytuty pieniądza w rodzaju kontynentalnej pszenicy, a później sztabek miedzi lub cyny.

¹³ Goody 2010, s. 60.

¹⁴ Cohen 1992. Wymowne podsumowanie dowodów na istnienie „kapitalistycznych” instytucji w starożytnej Mezopotamii w: Baechler 1971, s. 37–38.

¹⁵ Grierson 1978, s. 3, 5; Demetz 1997, s. 16.

¹⁶ Grantham 2003, s. 73.

Konwencjonalna historia „komercjalizacji” i zwłaszcza „monetyzacji” oraz ich przeciwieństw „samowystarczalności” i „praw własności wspólnotowej” – w której to historii mamy rzekomo jasny podział na wiejską *Gemeinschaft* (wspólnota odziedziczona, emocjonalna) i na miejską *Gesellschaft* (społeczeństwo stworzone, beznamiętne) i zgodnie z którą mamy współcześnie do czynienia ze „wzrostem racjonalności” i z niefortunną przewagą *Gesellschaft* – to w zdecydowanej części mit, ukuty w XIX wieku przez niemieckich badaczy wskutek wpływu eurocentrycznego romantyzmu rasy i w odpowiedzi na uniwersalistyczne tezy oświecenia francuskiego i szkockiego. Tymczasem (zgodnie z twierdzeniami Francuzów i Szkotów) od najwcześniejszych czasów chłopami i mieszczanami, tymi z gospodarstw rolnych i z fabryk, kierował ten sam zestaw ludzkich cnót i przywar. Ferdinand Tönnies, twórca pojęć *Gemeinschaft* i *Gesellschaft**, oznajmił w 1887 roku, że „nie mówi się przecież o wspólnocie handlowej”. Ależ owszem, mówi się. I aby biznes działał dobrze, musi być społecznością opartą na więzi emocjonalnej. „Wspólnoty majątkowej między małżonkami nie nazwie nikt stowarzyszeniem majątkowym”¹⁷. A dlaczego by nie? Jeśli żony mają mieć suwerenną tożsamość, to lepiej właśnie tak tę wspólnotę nazywać.

Ludzka natura nie zmieniła się, odkąd pamiętamy, a przypisywanie nowej „racjonalności” społeczeństwu zdolnemu do wojen światowych i współczesnych form sportu wydaje się cokolwiek dziwne. Choćby dawni mieszczanie z całego świata wydawali się mieć taką samą budowę psychologiczną jak współczesna burżuazja, o czym możemy wnosić choćby z przekleństw, które ciskali na nich na początku pierwszego tysiąclecia p.n.e. prorocy Hebrajczyków (Księga Amosa 8,4–7; Księga Ozeasza 12,7–8; i liczne inne przykłady). Nie odnotowujemy żadnego wzrostu „racjonalności” burżuazji w, dajmy na to, XVI wieku. Ludzie interesu pragnęli wtedy zysku tak jak dziś, tak jak wszystkie istoty ludzkie i tak jak wszystkie formy życia. Nawet trawa jest racjonalna. Mieszczanie chcieli zyskiwać i uważali, że najlepszą po temu drogą jest ustanowienie monopolu egzekwowanego przez skorumpowanych sędziów, królów i burmistrzów, którzy tak wówczas, jak dziś byli nader skorzy brać udział w tym procederze: przykładowo wytwórcom wełny i tkanin z Francji udało się bez większych trudności przekonać urzędników, aby ci zsyłali importatorów tkanin bawełnianych na galery lub łamali ich kołem. Lecz burżuazja

* Odpowiednio „wspólnota” i „stowarzyszenie” (przyp. JL).

¹⁷ Tönnies 1887, s. 22.

zgodziła się na innowacje, gdy zmusiła ją do tego konkurencja, gdy umożliwiła jej to współpraca i gdy mogła jeszcze dzięki temu zasłużyć sobie na szacunek. Ale zanim tej warstwie społecznej wolno było ruszyć z linii startu, by dokonywać innowacji na ogromną skalę i dać początek jedynej w swoim rodzaju erze burżuazji, musiała ona doczekać społecznego i politycznego przewartościowania, które zaszło w północno-zachodniej Europie, i zamknięcia się protekcyjnych nisz umożliwiających lokalne wzbogacenie się.

Oczywiście innowacje nie narodziły się na początku XVIII wieku. Kobiety i mężczyźni od dawna wynajdywali twórcze metody wytwarzania tkanin albo grotów strzał. Wybuch kreatywności w paleolicie górnym, który przyniósł narzędzia, zdobienia i instrumenty muzyczne, też wskazuje na to, że pojawił się pełny nowoczesny system językowy. Podobnie jak użycie łodzi zdolnych do podróży oceanicznych i pokonania na krótko przed początkiem 40 000 roku p.n.e. linii Wallace’a przez praszczurów tubylczych mieszkańców Nowej Gwinei i Australii¹⁸. Zgodnie z dostępną wiedzą, mniej więcej przed 4000 rokiem p.n.e. ludom indoeuropejskim z terenów dzisiejszej Ukrainy, których odlegli przodkowie po opuszczeniu Afryki skrzyżowali w lewo, udało się oswoić konie, dzięki czemu ruszyli podbijać, zaludniać na nowo lub inspirować Europę, Iran i Azję Południową. Przypuszczalnie około 3500 roku p.n.e. ludy tubylcze z obecnego Tajwanu, które przybyły tam z ziem należących dzisiaj do Chin, a pierwotnie – jak my wszyscy – z Afryki, wynalazły kanu z pływakiem i zasiedliły region Oceanu Spokojnego.

Lecz do XIX wieku n.e. takie innowacje pozwalały na ekspansję *homo sapiens* jedynie w wymiarze liczności przedstawicieli gatunku i zasięgu jego ekosystemu bądź też na zastępowanie jednych kultur przez inne. Nie było mowy o żadnej poprawie jakości ludzkiego bytu. Ze względów wskazanych przez Malthusa aż do XIX wieku lepsze odzienie

¹⁸ Kuhn, Stiner, Reese i Gülec 2001. Autorzy opisują wyłonienie się „redundantnych, ujednoliconych form” na znacznym obszarze i stosunkowo nagle, co wskazywałoby, że ich celem była komunikacja. Wcześniej sztuka była rzadkością, a każde z dzieł było wyjątkowe w swoim zamyśle. Stąd wydaje się, że była przejawem kultury pozbawionej dialogu. Materiał dowodowy w postaci zbadanych genetycznie drzew genealogicznych i [kontrowersyjnej] wywody językoznawstwa diachronicznego w ramach szkoły Josepha Greenberga i Merritta Ruhlena wskazują na mniej więcej ten sam okres historyczny. Zagadnienie umiejscowienia w czasie chwili, w której ludzie zaczęli posługiwać się językiem, jest niezwykle trudne. Według pewnych odkrytych niedawno wskazówek (krtań i odpowiednie obszary w mózgu, sztuka, obrzędowe formy pochówku) mogło się to wydarzyć dużo wcześniej w Afryce Południowej.

i łodzie nie wzruszyły w żaden sposób muru poziomu życia za 3 dolary dziennie, z którym zderzał się zarówno rolnik z plemienia Zulusów, jak i eskimoski łowca. Gdy jakiejś społeczności wiodło się nieco lepiej, wtedy rodziło się w niej więcej dzieci, a to pogarszało sytuację całej grupy za sprawą, jak to nazywają ekonomiści, „prawa malejących przychodów z pracy przy danej wielkości ziemi”. Nawet przekładający się na niższy współczynnik dzietności „europejski wzorzec małżeństwa” (w którym wiele osób w ogóle się nie żeniło albo czyniło to późno) pomagał niewiele – na pewno nie na tyle, aby skruszyć barierę 3 dolarów dziennie. Zgadza się, że zgodnie z bardzo przekonującą tezą sformułowaną dawno temu przez Mashalla Sahlinsa „ekonomika epoki kamienia” pozwalała pracować łowcom – zbieraczom krócej w ciągu dnia niż rolnikom¹⁹. (A jednak nieżyjący już historyk gospodarczy Stanley Lebergott stanął twardo w opozycji wobec kryjącego się w opowieści Sahlinsa antyprzemysłowego motywu: „Amerykanie mogliby wybrać tę samą prostotę [życia Buszmenów] i trwać o 300 orzeszkach dziennie, ćwierci kilograma surowego mięsa i niedużej ilości warzyw. Wystarczyłby im jednak tylko dwugodzinny tydzień pracy [drobny ułamek nawet tego niskiego oszacowania budżetu czasowego, które zaproponował Sahlins], biorąc pod uwagę przewagę metod produkcji stosowanych w Stanach Zjednoczonych”²⁰). Przejście na bardziej pracochłonny i wymagający chronionych przez strażników spichlerzy system uprawy zbóż pozwoliło na utrzymanie miast i świątyń, a potem na rozwój piśmienności. To było coś za coś: słabo zaludnione przez analfabetów ziemie przeznaczone do polowania/wypasu w zamian za miasta gęsto zaludnione przez żyjącą dostatnio elitę, niewielką liczbę ludzi potrafiących czytać i zdecydowanie mniejszą grupę potrafiących pisać (z pozostającymi długo w успіchu załączkami współczesnego świata uprzemysłowionego)²¹. Rzecz jednak w tym, że żadna z tych ścieżek – czy amazońska, czy sumeryjska – aż do nadejścia czasów przemysłu nie zwiększyła zakresu możliwości przeciętnego człowieka. Przed 1800 rokiem większość ludzi (nieważne, czy byli typowymi nomadami, czy typowymi Rzymianami) zazwyczaj cierpiała ubóstwo i choroby, nie miała perspektyw i nie znała pisma, a żyła dość krótko.

¹⁹ Sahlins 1974, zwł. rozdz. 2.

²⁰ Lebergott 1993, s. 63–64.

²¹ *Ekonomika opozycji łowców i rolników została klarownie zarysowana w: Lebergott 1984, s. 13–16.*

Czas po 1800 roku, a po 1900 roku już bezwzględnie, wyróżniał się nowatorskim, bezkresnym i trwałym – niemal fanatycznym – rygiem innowacyjności, dzięki któremu nareszcie złamano maltuzjańską klątwę. Gdy ludzie stawali się coraz bogatsi, ostatecznie zamiast mieć więcej dzieci, mieli ich coraz mniej – całkiem wbrew prorocztwom Malthusa. Owa innowacyjność parła do przodu z taką siłą, że bogaciły się nawet liczniejsze rodziny, jak te w burżuazyjnej Anglii. Silnik parowy, forma prawna przedsiębiorstwa, samolot, WalMart oraz inne innowacje sprawiły, że po raz pierwszy w historii majątek zaczęli zyskiwać zwyczajni ludzie; po jakimś czasie bogactwo to wielokrotnie przekroczyło wszystko, o czym mogli marzyć wędrowni pastuchowie, osiedleni rolnicy bądź poddani któregoś z imperiów. Stało się to zachętą dla współczesnych, aby zakładać mniejsze i lepiej wykształcone rodziny. Dostatek współdziałał ze społeczeństwem i systemami politycznymi w błogosławionym liberalizmie. Zdaniem liberalnego pisarza Mario Vargasa Llosy powinniśmy częściej wracać do twórczości popularnego hiszpańskiego intelektualisty José Ortegi y Gasseta, „aby na nowo odkrywać, że – wbrew temu, co zakładają ludzie obstawiający przy zawężeniu pojęcia liberalizmu li tylko do ekonomicznej receptury wolnego rynku, niskich ceł, ograniczonych wydatków rządu i prywatyzacji biznesu – liberalizm to nade wszystko sposób podejścia do życia i do społeczeństwa oparty na tolerancji i współistnieniu, na szacunku dla bogatej historii i wyjątkowych doświadczeń różnorodnych kultur i wreszcie na stanowczej obronie wolności. [...] Wolność ekonomiczna jest węzłowym punktem doktryny liberalnej, ale z pewnością nie jedynym”²². Wspomnij raz jeszcze biedę i ciasnotę własnych przodków, i raduj się swoim bogactwem.

²² Vargas Llosa 2008, s. 68.